

Owlient



Andaluzyjczyk

Christine Frasseto

# Prolog

*Turcja – Zachariasz*

Wiedza jest bezcenna.

Nikt nie rozpozna brata Zachariasza, skromnego koptyjskiego mnicha, w nowej, ulepszonej wersji: dokładnie ogolonego i ubranego w zachodnim stylu.

Odkąd uciekłem z Egiptu, korzystając z pieniędzy ukradzionych Leyli, tej głupiej studentce archeologii, która jakimś cudem zdołała mnie nabrać, nie mogę przestać rozmyślać o sprawie. Zaślepiła mnie chciwość, wziąłem forszę, a zostawiłem coś znacznie cenniejszego... W środku czuję palącą wściekłość!

Gdy zdałem sobie sprawę, że przedmiot, który miałem dostarczyć Hannibalowi, wciąż znajduje się w rękach Leyli i jej amerykańskiego kolegi, wiedziałem, że nie będę mógł się pokazać szefowi bez narażenia życia. Nie wypełniłem zadania. Jedynym wyjściem była ucieczka. Potem usłyszałem z mediów o kradzieży w Muzeum Narodowym, najbezpieczniejszym miejscu w całym Kairze. Najwyraźniej Hannibal zdołał odzyskać cenny metalowy przedmiot bez mojej pomocy. Chcę się dowiedzieć, dlaczego człowiek, który ma już wszystko: pieniądze, władzę i sławę, tak bardzo chce zdobyć ten nieszczęsny grawerowany trójkąt.

Wiem, jak wygląda rzeczony metalowy fragment, ponieważ zanim Hannibal zlecił mi odebranie go Leyli, wysłał mi zdjęcie podobnego przedmiotu. Teraz myślę sobie, że mógłbym odzyskać jego zaufanie, gdybym mu dostarczył jakąś ceną, brakującą informację. I za niedługą taką zdobędę...

W trakcie przygotowań do życia w zakonie mieszkałem i studiowałem w różnych klasztorach na całym świecie. Po wielu latach trafiłem z powrotem do Anatolii, położonej we wschodniej części Turcji. Na przestrzeni wieków żyło tutaj wiele narodów: Semicci, Turcy, Rzymianie, Hetyci, Lidyjczycy, Grecy, Persowie, Arabowie i inni. Persowie nazwali ten region Kapadocją, czyli „krajem pięknych koni”. Jej nieziemski krajobraz przywodzi na myśl powierzchnię Księżyca. Odtwarzam w pamięci liczne wspomnienia z mojej pierwszej wizyty. Dolina usiana formacjami skał wulkanicznych, stożków bazaltowych i tufowych, wydrążonych przez człowieka i zwanych „bajkowymi kominami”. Zbocza skalistej góry wznoszącej się tysiąc metrów nad Göreme, a potem długi, wąski kanion ukryty między dwoma klifami, z wyciosanymi w skale kolorowymi domami i kościołami. Pamiętam też rozległe podziemne miasto i towarzyszące mi w trakcie zwiedzania uczucie klaustrofobii. Biorę głęboki oddech, by odegnać tę falę wspomnień i skupić się na obecnym zadaniu. Muszę dotrzeć do *Yüksek Kilise*, najwyższej położonego sanktuarium, w którym przebywałem jako nowicjusz-skryba.

Wspinam się po wysłużonych schodach, wykutych w skale przez prześladowanych chrześcijańskich pustelników w IV wieku, i docieram do naturalnej jaskini położonej na stromym zboczu góry. Mieścił się tu niegdyś ważny prawosławny klasztor, lecz ze względu na trudny dostęp został opuszczony, a późniejsi jego mieszkańcy przenieśli się do

budynków na nizinach. Czyżby zabrakło im wytrwałości pierwszych mnichów, którzy wyciosali w skałach refektarz i kanały wentylacyjne, a także całą sieć cel dla swej nieustannie rosnącej społeczności? Wykuli również tunele ewakuacyjne na wypadek napaści. Stworzyli niesamowitą bibliotekę, gromadząc i porządkując tabliczki i zwoje przyniesione przez uciekinierów. Właśnie w tej zapomnianej, ukrytej bibliotece spodziewam się znaleźć to, czego szukam. Ręce zaczynają mi nieznacznie drżeć, gdy zdejmuję barierkę zabezpieczającą wejście do jaskini.

W trakcie wędrówki przez opuszczone korytarze towarzyszą mi jedynie odbijające się od ścian odgłosy własnych kroków. Wszystko, co uznano za zbyt ciężkie lub nieprzydatne, zostało na swoim miejscu. Dochodzę do biblioteki. Pamiętam, jak siedziałem za kamiennym stołem, przy świetle woskowej świecy, i zabierałem się do powierzonego zadania z uczuciem wielkiej frustracji i niechęci. By przetestować moją wiarę i samozaparcie, kazano mi przepisać mniej istotne manuskrypty. Nie znałem nawet znaczenia kopiowanych tekstów, ponieważ oryginalny pergamin uległ zniszczeniu wraz z upływem czasu, a ojciec przełożony nalegał, by zachować wszystkie starożytne pisma. Z zaciśniętymi zębami kopiowałem niezrozumiałe słowa, które wydawały mi się ocierać o szaleństwo.

Pewien podający się za żołnierza Grek snuł niesamowitą opowieść o ucieczce z Indii u schyłku czwartego wieku przed Chrystusem. Opowiadał o ciężającej na nim klątwie z powodu tajnej misji i obsesji związanej z gwiazdą Zeusa, która stopniowo zaczęła przejmować kontrolę nad jego ciałem i umysłem. Na środku pergaminu znajdował się rysunek, który odwzorowałem z wielkim trudem, ponieważ był tak zamazany, jakby ktoś w ataku furii starał się ukryć to, co zostało wcześniej namalowane. Skopiowanie całej zawartości zwoju zajęło mi całą noc. O świcie, licząc na słowa uznania, wręczyłem owoc mojej pracy bratu bibliotekarzowi. Ten pokiwał od niechcenia głową, a potem zwinął pergamin i wsunął go do wnęki na sam spód, razem z innymi zwojami o drugorzędnym znaczeniu.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami, zabrano jedynie pisma świętych i najważniejsze manuskrypty. Zbliżając się do zwojów ułożonych na samym spodzie, czuję przyspieszone bicie serca. Gorączkowo przeszukuję na klęczkach dolne wnęki. Otwieram, a potem odrzucam na bok mnóstwo nikomu niepotrzebnych kopii, sporządzanych latami przez uczniów. Mam! Moja kopia jest wciąż w nietkniętym stanie, z lekko tylko wyblakłym tuszem. W skroniach głośno pulsuje mi krew, gdy przyglądam się rysunkowi na środku pergaminu. Przedstawia on trójkąt o połamanej podstawie, pokryty greckimi literami i dziwnymi symbolami, zdumiewająco podobny do tego, który widziałem na zdjęciu przysłanym przez Hannibala!

W trakcie lektury swojej kopii wybucham niepohamowanym śmiechem. Ostatnie zdanie głosi, iż żołnierz powierzył kapłanom Zeusa ochronę tego, co należy do Zeusa. Ludzie okazują niesamowitą słabość i strach w obliczu wszechmocy swoich bogów... A teraz ja, dysponując kluczem do kolejnego fragmentu gwiazdy Zeusa, mam władzę nad Hannibalem!

Wiedza jest zaiste bezcenna...

## *Kraj Basków, Nadia*

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam ocean. Siedząc na skraju klifu, obserwuję spienione, białe fale uderzające o skały. Słyszę ich nieustępliwy ryk. Wiatr od morza rozwiewa moje włosy, a na ustach czuję słone kropelki wody. Rozkładam szeroko ramiona i poddaję swoje ciało władzy żywiołów, śmiejąc się jak rozszczebiotane mewy latające nad falami. Może udałoby mi się wzlecieć hen wysoko, jak tym ptakom nade mną, które na przekór porywom wiatru nurkują w wodzie, by złapać dziobem pechową rybę.

– Nadia! Chodź tu i pomóż mi!

Łapczywie oblizuję usta i niechętnie opuszczam brzeg klifu. Ojciec patrzy na mnie z wyrzutem, a jego wzrok zdaje się mówić: „nie jesteśmy tu dla zabawy”. Ale ja naprawdę chciałam poczuć smak oceanu, pobiec brzegiem klifu i zatańczyć wśród błękitnych goryczek, słonecznych żonkili, liliowych orchidei i promiennych kwiatów maku, goniąc za różnokolorowymi motylami. Obiecuję sobie, że wykorzystam każdą wolną chwilę na poznawanie tych niesamowitych krajobrazów. Potem wracam w kierunku asfaltowego pasa i prywatnego samolotu, który przywiózł nas tutaj z Rosji: mnie, ojca i nasze konie.

Wózek przypominający golfowy jest już po brzegi wyładowany naszymi bagażami i sprzętem ojca. Patrzą, jak odjeżdża krętą ścieżką przez skały i znika w gąszczu dębów zasłaniających widok w głąb lądu. Zastanawiam się, gdzie będziemy nocować. Dwaj sztywni jak kije mężczyźni stoją przed dużymi metalowymi drzwiami samolotu i czekają na znak od ojca, by je opuścić. Ojciec wręcza mi dwa postronki: Misza i Mysz będą pod moją opieką, a on zajmie się Zaldią. Mimo podania ziołowych środków uspokajających, po długim locie samolotem konie mogą się zachować w nieprzewidywalny sposób po wyjściu z powrotem na ląd. Na znak ojca dwaj mężczyźni otwierają drzwi, które tworzą rampę prowadzącą na ziemię. Wchodzimy po niej i kierujemy się w stronę wyściełanych boksów, gdzie niecierpliwie czekają konie. Przymocowuję postronki do uździenic i wyprowadzam na zewnątrz bliźnięta Miszę („niedźwiedzia”) i Mysz, szepcząc do nich zachęcająco. Przy pomocy oczu, uszu i nozdrzy zapoznają się z nowym środowiskiem i, nie stwierdziwszy zagrożenia, zaczynają się ochoczo paść. Zaldia natomiast sprawia więcej kłopotów. Ojciec musi go długo uspokajać i szeptać mu do ucha, zanim wreszcie koń godzi się stanąć obok niego na platformie. Każdy potężny mięsień na jego ciele drży, a głowa kręci się na boki, ostrożnie i szczegółowo badając otoczenie. Widok spokojnie zachowujących się Miszy i Myszy dodaje mu nieco pewności siebie. Zaldia robi kilka kroków na asfalcie, a potem wchodzi na wrzosowisko. Odrzuca na bok swoją długą, kręconą grzywę, odsłaniając mocno zbudowaną szyję. Jego sierść, pod którą falują potężne mięśnie, lśni w słońcu niczym królewska szata. Elegancki chód podkreśla szlachetne, andaluzyjskie pochodzenie: cechuje go duma i siła, a jednocześnie delikatność.

– Panie Tkaczew, samolot musi odlatywać – przerywa jeden z mężczyzn. – Musimy przenieść konie. Proszę za mną, pokażę panu, gdzie są stajnie.

Ojciec kiwa głową, luźno trzymając postronek Zaldii, i podąża za mężczyznami, którzy nadal wyglądają na okropnie usztywnionych. Ja idę z tyłu, prowadząc Miszę i Mysz tą samą ścieżką, którą jechał wózek bagażowy. Na skraju dębowego zagajnika słyszę metalowy brzdęk bocznych drzwi samolotu, który płoszy konie. Uspokajam je i spoglądam w tył. Samolot najpierw kołuje po asfaltowym pasie, a potem zawraca i nabiera prędkości, o czym świadczy ryk silników. Kieruje się w stronę oceanu, coraz szybciej i szybciej, wzbijając się majestatycznie w powietrze przed brzegiem klifu. Pilot chowa koła w kadłubie, a metalowy ptak wlatuje w niebo, znikając z pola widzenia w ciągu kilku sekund. Czuję ucisk w klatce piersiowej i biorę kilka głębokich oddechów. Właśnie uświadomiłam sobie, że wylądowaliśmy na nieznanym terenie i nie ma już odwrotu. Mam nadzieję, że mój wyjątkowo tajemniczy i małomówny ojciec, który o wyjeździe powiadomił mnie dosłownie kilka chwil wcześniej, ma jakiś dobry powód, dla którego zostawiliśmy wszystko, co mieliśmy...

Rety... Gdy wyszliśmy z dębowego lasu, naszym oczom ukazał się widok zupełnie niepasujący do tej dziczy: neogotycki zamek, jak poinformowali nas dwaj mężczyźni, położony na skale, z oknami wychodzącymi na klif i ocean oraz dumnymi wieżyczkami sięgającymi wysoko w górę, na przekór niebu, morzu i wiatrowi. Z przodu znajduje się doskonale utrzymany, ogromny ogród w stylu francuskim, z kwiecistymi rotundami i ustronnymi zakątkami przeznaczonymi do prowadzenia dyskretnych rozmów, a także z imponującym teatrem, gdzie mogą odbywać się przedstawienia pod gołym niebem. Po plecach przebiega mi dreszcz. Jakież to współczesny „lord” mieszka w takim nietypowym zamku?

– Stajnie są tutaj – młodszy mężczyzna wskazuje miejsce naprzeciwko zamku.

Odrywam wzrok od monumentalnego zamku i przyglądam się placowi otoczonemu wysokim ogrodzeniem z kutego żelaza, pośrodku którego znajduje się arena jeździecka i szkoła jazdy konnej. Ogromne padoki ciągną się aż do samego końca placu, gdzie widać kilka stajni otaczających warsztat rymarski i drewnianą stodołę. Wszystko jest takie czyste, wypolerowane i doskonałe... ale nigdzie nie ma ani śladu koni!

Zbliżając się do stajni, spostrzegam, że cała posiadłość otoczona jest wysokim żelaznym ogrodzeniem. Pieszko lub samochodem nikt nie może się tutaj dostać. Ani się stąd wydostać... Mimo ciepłej, wiosennej aury drzę w poczuciu izolacji i osaczenia, tak jakbym znajdowała się w kolonii karnej w Krasnokamieńsku na Syberii. Czy jesteśmy uwięzieni w połączonej klatce? Nie znoszę tego uczucia, podobnie jak sytuacji bez wyboru. Dlaczego nie porozmawia ze mną mój ojciec, Kozak z pochodzenia, dumny i niedostępny do tego stopnia, że przypomina milczącą ścianę? Dlaczego nie chce powiedzieć, co myśli i jakie ma plany, nie mówiąc już o tym, co czuje? Jak moja matka, która zmarła, wydając mnie na świat, mogła zaakceptować kogoś tak nieczułego jak granitowa skała? Jestem wściekła. Powstrzymywałam się już wystarczająco długo. Chce mi się krzyżeć i mam ochotę natychmiast opuścić to miejsce. Nie wzlecę jednak w powietrze, bo nie mam skrzydeł, a jeżeli wskoczyłabym do oceanu, niechybnie roztrzaskałabym się o skały. Nic bym w ten sposób nie osiągnęła. Nie mam innego wyjścia, jak tylko siedzieć cicho i spełniać polecenia ojca do czasu, gdy będę mogła opuścić rodzinne gniazdo...

Świat cyrku, w którym się wychowałam, zostawię wtedy za sobą, mimo głębokiego przywiązania do wujka Wasyla i cioci Iriny, ludzi ogromnie czułych i wesołych w przeciwieństwie do mojego małomównego ojca. Po śmierci mojej mamy ciocia Irina przekonała brata, by zrezygnował ze służby wojskowej, dołączył do jej cyrku i zajął się moim wychowaniem. Jak na porządnego Kozaka przystało, poświęcił się pracy z końmi i wkrótce rozmawiał już tylko z nimi. Jako „zaklinacz koni” wyszlifował swoje umiejętności do tego stopnia, że zaczęło się do niego zgłaszać coraz więcej właścicieli koni o trudnym charakterze, które uspokajał i szkolił.

Ja zaś nauczyłam się zonglować, chodzić po linie, skakać na trapezach i wskakiwać na galopujące konie, wykonując salto w powietrzu przy aplauzie widowni. Wszystko to udało

mi się osiągnąć za sprawą ciężkiej pracy, dyscypliny i zaufania do partnerów, a zwłaszcza do naszych koni. Podejrzewam, że gdyby ich towarzystwo nie sprawiało mi tak wielkiej radości, nie byłabym w stanie wejść na arenę z uśmiechem równie promiennym co brokat na moim kostiumie...

Głaszczę grzywkę Miszy który przyszedł tutaj i wtulił się nosem w moją szyję. Jego siostra bliźniaczka Mysz natychmiast przybiegła w ślad za nim. Bliźniacze ciąży zdarzają się u klaczy niezwykle rzadko i bardzo często przeżywa tylko jedno ze źrebiąt. Mysz po urodzeniu była tak malutka i słaba, że nie byliśmy pewni, czy przeżyje. Wyrosła jednak na silną klacz i dogoniła brata, niedźwiedzia Miszę. Bliźniaki konkurują ze sobą o moje względy, skubiąc i sapiąc na mnie, a ja zanoszę się od śmiechu, gdy obydwójce zaczynają mnie łaskotać, dopraszając się o głaskanie. Nagle z rozrzewnieniem wspominam ciocię Irinę, która mawiała, że ich kasztanowe grzywy i moje zmierzwione rude włosy wyglądają razem jak walczące ze sobą wiewiórki! W końcu odpreżam się i przytulam po kolei moich towarzyszy. Nieważne, co mnie czeka – o ile będę ich miała przy sobie, na pewno wszystko będzie dobrze!



Nasze konie otrzymały swoje wytoki na padoku, a po wniesieniu sprzętu ojca do warsztatu rymarskiego wsiedliśmy do elektrycznego samochodu zaparkowanego pod zadaszeniem.

– Bardzo się go prowadzi – wyjaśnia jeden z mężczyzn, naciskając duży przycisk na pulpicie, by uruchomić pojazd. – Dźwignię można ustawić w trzech pozycjach: jazda do przodu, zatrzymanie i jazda do tyłu. Za pierwszym razem pojedziemy z wami, a potem będziecie mogli poruszać się swobodnie po całym terenie.

Jestem pod wrażeniem cichej pracy elektrycznego pojazdu i milczenia naszych przewodników. Dlatego, mimo że mam ochotę zadać im setki pytań, postanawiam skupić się na podróży do zamku, gdzie wkrótce zostaniemy zakwaterowani w pokojach.

Pokonujemy całe hektary typowo prowincjonalnych terenów – wysokie, poszarpane klify, wrzosowiska porośnięte janowcami i wrzosami, łąki, zagajniki – i docieramy do majestatycznego zamku z białoróżowego kamienia. Zamek stoi frontem do oceanu i składa się z głównego budynku oraz trzech skrzydeł, z których każde zakończone jest wieżą pokrytą dachem z płytki łupkowej. Objeżdżamy pierwsze dwa skrzydła i zatrzymujemy się przed wejściem do głównego budynku, pod łukiem zdobionym rzeźbami gargulców i innych okropnych monstrów. Opanowuję drżenie i odwracam wzrok w kierunku parkingu wypełnionego zaparkowanymi w równych rzędach samochodami.

– Proszę za nami...

Wspinamy się po schodach wyciosanych z tego samego kamienia co ściany i docieramy do sali głównej z wysokimi oknami, przez które wpada do środka mnóstwo słońca.

– Po lewej jest kaplica, na wprost biblioteka i prywatne apartamenty pana Hannibala, a po prawej skrzydło zarezerwowane dla gości. Zaprowadzę was teraz do pokoi i pokażę, gdzie możecie odpocząć i coś zjeść.

Acha. Czyli jesteśmy gośćmi niejakiego pana Hannibala. Nigdy o nim nie słyszałam. Mam nadzieję, że gdy już się rozpakujemy, ojciec powie mi wreszcie, o co tutaj chodzi! W międzyczasie idę za nimi szerokim korytarzem, spoglądając w tył na imponujące kręte schody prowadzące do prywatnych apartamentów zajmujących aż trzy piętra. Szklana kopuła u szczytu oświetla poręcz i na każdy stopień rzuca promienie zachodzącego słońca, które przecinają wiszące na ścianach rodzinne portrety. Widok jest tak niesamowity, że z wielkim trudem odrywam wzrok od tej spirali światła i cienia. Pracownicy gospodarza równocześnie otwierają przed nami drzwi i ojciec wchodzi do zarezerwowanych dla nas pomieszczeń.

W pierwszej kolejności zauważam, że niewielka ilość naprędce spakowanych do plecaka ubrań została dokładnie złożona lub powieszona na wieszakach w jednej z szaf. Czuję, że robię się czerwona jak burak i szybko odwracam się do okna. Jestem okropnie zażenowana; ktoś poskładał i schował nawet moją bieliznę! By ukryć zawstydzenie, otwieram okna na oścież i witają mnie miłe okrzyki mew latających nad szumiącym

oceanem. Wychyłam się za okno i podziwiam przepiękny widok. Mój pokój zawieszony jest w powietrzu i mogę stąd podziwiać słońce zachodzące za falami na horyzoncie.

Do tej pory mieszkałam tylko w przytulnych, lecz niesamowicie kiczowatych wozach cyrkowych i czuję, że nieoczekiwane nocowanie w luksusowym zamku może mi się nawet spodobać!

– Nadia?

Hmm... Kto mnie woła o tak wczesnej porze?

– Nadia, wstawaj! Śniadanie czeka na ciebie w pokoju za czwartymi drzwiami po prawej.

Cholera, a miałam taki piękny sen... Kopniakiem zsuwam grubą kołdrę, owiniętą wokół mnie jak futro, i leniwie się przeciągam. Spałam jak zabita! Podchodzę do okna, by przywitać się z oceanem, a potem nakładam parę starych dżinsów i koszulkę i wychodzę na bosy, by dołączyć do ojca.

Niespodzianka! W sali jadalnej obok ojca po lewej siedzi jakiś mężczyzna, odwrócony plecami do wpadającego przez okna światła, które zalewa całe pomieszczenie. Mógł mnie ostrzec! Ubrałam się jak ostatni niechluj, a moje włosy przypominają zapewne ogniste tornado!

– Ongi etorri Euskal Herria! Witamy w Kraju Basków – tłumaczy nasz gospodarz.

Cóż za charakterystyczny głos, taki poważny i charyzmatyczny... Kłaniam się niezręcznie, trochę w cyrkowym stylu, co wywołuje u gospodarza salwę śmiechu zupełnie pozbawionego radości.

– Usiądź proszę, *Bosikom Printsessa*.

Rzadko bywam tak zawstydzona jak teraz, w ciągu tych paru chwil, jakie upłynęły od wyciągnięcia mnie z łóżka aż do uwagi o „bosej księżniczce”, która padła z ust człowieka będącego zapewne panem Hannibalem.

– Rety, ależ wyrosłaś od czasów moskiewskich... – ciągnie dalej z nostalgią w głosie.

Chowam twarz w wielkim kubku gorącej czekolady, która jest po prostu doskonała, gęsta i aksamitna. Chciałabym się w niej rozpuścić na zawsze, gdyż czuję na sobie świdrujący wzrok Hannibala, który sprawia wrażenie, jakby próbował przeniknąć do mojej duszy. Nie przypominam sobie, żebym go kiedykolwiek spotkała! Na szczęście ojciec odwraca jego uwagę, pytając:

– Jesteś gotowy?

Gotowy? Do czego? Czy ja się wreszcie dowiem, po co ojciec przywiódł nas do tego szalonego zamku i jego nie mniej dziwnego właściciela, i czego tamten od nas chce?

Wciąż spoglądając w dół, słyszę dźwięk odsuwanego krzesła i cichy szelest ubrania. Kroki na podłodze z marmurowych płytek wskazują, że Hannibal wychodzi z sali jadalnej. Coś sprawia, że podnoszę głowę: odgłosy butów stukających o podłogę są odrobinę nieregularne. Patrząc zza włosów na nogi Hannibala, dostrzegam, że lekko kuleje. Gdy się zatrzymuje i odwraca przy drzwiach, szybko opuszczam z powrotem głowę.

– Spotkamy się na padoku za pół godziny.

Na padoku? Czekam, aż odgłos jego kroków zniknie w oddali, a potem rzucam ojcu gniewne spojrzenie i mówię:

– Nie widziałam tu żadnych koni oprócz naszych! Nie mają tu więc żadnych „trudnych” zwierząt wymagających szkolenia z udziałem zaklinacza Siergieja! Mam nadzieję, że nie przyjechaliśmy tutaj po to, żeby mu sprzedać nasze konie?!

– Nie – odpowiada zdawkowo ojciec, wstając zza stołu.

– No to po co tu jesteśmy? Skąd znasz tego człowieka? Powiesz mi wreszcie, o co tutaj chodzi?

– Nauczymy go, jak znów jeździć konno. Pośpiesz się i bądź gotowa, spotkamy się na parkingu.

Ledwo zdążyłam umyć zęby, związać włosy i włożyć trampki, gdy podjechał wózek mający nas zabrać na padok. Nasz cyrk urządza w Moskwie przedstawienie w każde święta Bożego Narodzenia, ale nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widziała tam Hannibala. Musiałam być bardzo mała, skoro on mnie pamięta, a ja jego nie. W mojej głowie krąży tak wiele pytań. Dlaczego Hannibal potrzebuje cyrkowców, by „nauczili go, jak znów jeździć konno”? Mając do dyspozycji takie środki, mógłby sobie zapewnić najlepszych instruktorów jeździectwa na świecie! W jaki sposób „zapomniał”, jak się jeździ konno? Czy w trakcie jazdy doznał jakiegoś wypadku i dlatego kuśtyka? Straszego wypadku, który wywołał u niego traumę?

Zaczyna się. Wyobraźnia podsuwa mi tysiące możliwych scenariuszy na minutę. Zaczynam odczuwać współczucie dla tego zimnego i nieprzystępnego mężczyzny, o którym tak naprawdę nic nie wiem. Równie dobrze jazda konna może być tylko kaprysem znudzonego miliardera. Za chwilę okaże się, że zmieni zdanie i zamiast tego postanowi opanować skakanie ze spadochronem albo szydełkowanie! Potrząsam głową i biorę głęboki oddech, by odgonić od siebie te szalone pomysły. Gdyby ojciec wszystko mi wyjaśnił, miałabym o wiele mniej zmartwień przyprawiających mnie o ból głowy!

Hannibal stoi już przed padokiem, wyprostowany jak struna, w dość dużej odległości od bramy. Ma na sobie kompletny strój jeździecki: czapkę, kurtkę, bryczesy i wysokie buty, wszystko nowe. Krzywię się na widok palcata, którym poklepuje się po udzie, a także ostróg pobłyskujących przy obcasach butów. Oj... jeśli zamierza jeździć na naszych koniach, to mam nadzieję, że ojciec skłoni go do zdjęcia tych dwóch ostatnich akcesoriów. W przeciwnym razie sama to zrobię!

Jestem zaskoczona, że Misza i Mysz nie stoją ściśnięci przy bramie, zebrząc o smakołyk lub pogłaskanie po głowie. Znajdują się na samym końcu padoku, za Zaldią, który sprawia wrażenie, jakby ich zatrzymywał i pełnił rolę, w równie sztywnej pozycji jak Hannibal. Dopiero gdy dostrzega mnie i ojca, Zaldia odpręża się i rży na znak, że nas rozpoznaje. Podbiega ku nam, choć szybko wyprzedzają go galopujące bliźnięta, które spowalniają tuż przed ogrodzeniem. Tak się cieszę, że ich widzę. Nie mogę się powstrzymać. Przechodzę pod barierką, by ich powitać. Głaszczę konie, a one obwąchują moje kieszenie w poszukiwaniu marchewek, podekscytowane niczym małe szczeniaki. Uspokajam je i przywołuję Zaldię, ale widzę, że trzyma się z tyłu i obserwuje kątem oka Hannibala, wciąż nieufny w stosunku do tej obcej osoby. Odwracam się do ojca w oczekiwaniu na instrukcje. Przypuszczam, że na początek lekcji każe mi przynieść uzdę i siodło, lecz zamiast tego kieruje się w stronę bramy i mówi do Hannibala:

– Zostaw palcat i ostrogi i chodź ze mną.

Dobrze. Ojciec ukończył misję „pozbywania się narzędzi tortur”. Hannibal wygląda na zatroskanego, jakby w jego głowie odtwarzał się jakiś film, lecz głos mojego ojca wrywa go z zamyślenia. Nerwowo przeczesuje ręką włosy, a potem wykonuje polecenie i podchodzi do bramy, sprawiając wrażenie dość zestresowanego. Po zamknięciu bramy

padoku ojciec powoli podchodzi do koni, a za nim Hannibal, niemalże schowany za jego plecami, tak jakby traktował go jak swojego ochroniarza. Zaledwie cofa się o krok, kładzie uszy po sobie i kopie nogami, a potem galopuje na koniec padoku. Bliźnięta natomiast są grzeczniejsze i powoli podchodzą do ojca.

– To jest Misza i Mysz – zwraca się do Hannibala, wskazując po kolei palcem każde z bliźniąt.

Ojciec zatrzymuje się i kiwa głową w ich kierunku. W odpowiedzi bliźnięta zatrzymują się jednocześnie i klękają na jedno kolano, tak jakby wykonywały ukłon podczas występu.

Mam ochotę zaklaskać, ale widzę, jak bardzo spięty jest Hannibal. Jego twarz jest niesamowicie blada, a szczęki zaciśnięte. Podejrzewam, że walczy, by nad sobą zapanować. Ojciec w ogóle nie zwraca na niego uwagi. Głaszcze konie po szyi, a potem woła Hannibala:

– Podejdź tu.

Lecz Hannibal stoi nieruchomo jak posąg. W końcu uświadamiam sobie, że ten człowiek boi się koni i jest całkowicie sparaliżowany strachem. Wykonuję gest w stronę ojca i ten po chwili potakuje w odpowiedzi. Podchodzę zdecydowanie do koni i każę Miszy się odsunąć. Następnie opieram się o bark Myszy i proszę ją, by położyła się na boku. Robi to z wdziękiem, a ja wsuwam się pod jej nogi i leżę oparta o jej brzuch. Wołam Miszę, a ten przyjmuje tę samą pozycję, zwrócony do mnie plecami.

– Bardzo dobrze, moi kochani – dziękuję im.

Przed jakiś czas leżymy nieruchomo i powoli zaczyna mi się robić gorąco. Potem obejmuję Miszę za szyję i przekładam jedną nogę przez jego grzbiet. Cmokam językiem i każę mu wstać, a następnie przekładam drugą nogę. Koń powoli wstaje, a ja spinam go łydkami, by zaczął iść, a potem galopować dookoła Myszy, która wciąż leży na ziemi. Na koniec przeskakujemy przez nią. Mysz nawet nie drgnęła. Skłaniam Miszę, by przeszedł z powrotem do chodu, głaszcze go po szyi, a potem zsuwam się na ziemię. Cmokam językiem i Mysz wstaje. Ją również głaszcze, a następnie zwracam się do Hannibala, z końmi po bokach:

– Oni nie zrobią panu krzywdy. Może pan podejść bliżej, obiecuję.

Czy mój pokaz dodał mu pewności siebie? Czy to go przekona, by podejść do koni?

Po ogromnie długiej chwili zastanowienia Hannibal robi krok w naszym kierunku, a potem kolejny, lecz zatrzymuje się, gdy Misza potrząsa głową, by odgonić muchę. Przypominam sobie chwilę, w której po raz pierwszy miałam podejść do tygrysa w cyrku. Miałam wtedy pięć lat i byłam kompletnie sparaliżowana widokiem jego potężnych szczęk, rozdziawionych w trakcie ziewania, ale mój wujek wiedział, jak mnie z nim oswoić. Podrapał tygrysa za uszami i kazał mu się położyć tak, by wyglądał mniej groźnie, a potem przywołał mnie ponownie:

– Podejź, Nadja. On ci nic nie zrobi! Wyobraź sobie, że to tylko duży kot, który chce, żeby go głaskać.

Pokonałam swój strach i podeszłam do tygrysa. Uklęłam przy nim i delikatnie go pogłaskałam. Kilka tygodni później jeździłam na nim, bez strachu przeskakując przez płonące obręcze. To wspomnienie wywołuje u mnie wesołość, aczkolwiek nie wiem, jak miałabym powiedzieć Hannibalowi, że nasze konie to tylko takie duże koty, które chcą, żeby je głaskać. Być może mój mimowolny uśmiech zachęcił jednak Hannibala do zrobienia kilku kroków w przód.

– Bardzo dobrze, a teraz proszę wyciągnąć ręce z otwartymi dłońmi.

Konie powoli wyciągają szyje, przybliżają końcówki nosów do jego wyciągniętych dłoni i delikatnie je obwąchują, a następnie z powrotem się wyprostowują.

– Może pan je pogłaskać po szyi. Nie poruszają się.

Ręce Hannibala powoli opadają. Na jego policzku pojawia się nerwowy tik, lecz reszta ciała pozostaje nieruchoma. Nagle słyszę jakieś delikatne brzęczenie, które najwyraźniej wyrывa go z odrętwienia. Podciąga rękaw kurtki i rzuca poirytowane spojrzenie na swój nadgarstek. Dostrzegam na nim dużą, złotą bransoletę ozdobioną lśniącoymi kamieniami, czyżby diamentami? Taka oznaka próżności wiele mówi o charakterze człowieka! Wyraz twarzy Hannibala zmienia się na naszych oczach. Nasz gospodarz marszczy brwi, mruży oczy i odwraca wzrok. Potem jego twarz się rozluźnia, a usta poszerzają w wilczym uśmiechu. Ta metamorfoza wygląda tak niepokojąco, że mimowolnie się wzdrygam. Konie musiały poczuć moje zdenerwowanie, bo zaczynają się ruszać. Szybko zarzucam ramiona na ich szyje, by je uspokoić. Obserwuję Hannibala, który oddalił się o kilka kroków. Sprawia wrażenie niesamowicie podekscytowanego, gdy mówi:

– Już idę.

Stuka palcem wskazującym w bransoletę, a następnie zwraca się do mojego ojca z gorączkowym błyskiem w oku.

– Wypadło mi... coś pilnego. Zaraz wracam. Czujcie się jak u siebie w domu.

Tymi słowami rozstaje się z nami i biegnie w kierunku szybko nadjeżdżającego samochodu terenowego. Być może ta bransoletka nie ma nic wspólnego z próżnością, lecz jest jakimś zaawansowanym narzędziem komunikacyjnym w stylu zegarka z dostępem do

Internetu?

Ojciec wyrywa mnie z zamyślenia, kiwając głową.

– Ten pokaz to był bardzo dobry pomysł. Choć sędzę, że czeka nas jeszcze sporo pracy, zanim ten człowiek będzie w stanie zaufać koniom...

– I vice versa. Nie mam specjalnych wątpliwości co do Miszy i Myszy, bo są grzeczni i dopóki jestem z nimi, wszystko będzie w porządku. Ale wydaje mi się, że Zaldia z kilometra potrafi wyczuć negatywną energię bijącą od tego człowieka! Jak myślisz, czy kiedyś uda ci się pogodzić ich ze sobą?

– To jest właśnie to wyzwanie, którego postanowiłem się podjąć...



W oczekiwaniu na powrót Hannibala młodszy z jego pracowników, Filipe, proponuje, że zawiezie nas „do miasta” na zakupy, opłacone rzecz jasna przez naszego gospodarza. Ojciec odmawia, bo woli zostać z końmi, lecz ja chętnie korzystam z szansy na wyrwanie się z naszej złotej klatki. Muszę przyznać, że myśl o wyjściu na zakupy, po raz pierwszy dla siebie, a nie w charakterze pomocnika do noszenia toreb z jedzeniem dla całej trupy cyrkowej, jest bardzo kusząca!

Przy okazji w trakcie jazdy staram się wyciągnąć z Filipe jak najwięcej informacji.

– Długo już pracujesz dla pana Hannibala?

Sądząc po jego zmieszanej minie, ni w ząb nie zna rosyjskiego, więc powtarzam swoje pytanie łamanym angielskim. Filipe odpowiada mi jeszcze gorszą angielszczyzną niż moja.

– Rok.

Niełatwo jest prowadzić rozmowę w ten sposób, lecz mimo to udało mi się dowiedzieć, że zamek stał pusty przez wiele lat, a Filipe i ten drugi mężczyzna zostali zatrudnieni do wożenia pracowników i ogrodników pracujących przy remoncie posiadłości. Lecz gdy próbuję uzyskać trochę więcej informacji osobistych na temat Hannibala, Filipe mamrocze coś pod nosem i macha ręką na znak, że nic nie wie lub raczej nie może mi powiedzieć. Z rozczarowaniem opieram się na siedzeniu i postanawiam skupić uwagę na podziwianiu krajobrazu.

Baskijskie wybrzeże jest takie piękne! Przez otwarte okno samochodu wdycham zapach dzikich traw i oceanu, a przed moimi oczami roztacza się feeria barw i nowych świateł. Dzięki temu nie przyglądam się zbyt długo niezwykle taktownemu Filipe... Cieszę się, że to właśnie on ze mną pojechał, bo ten drugi facet, o niemożliwym do wymówienia imieniu Garbixo, jest znacznie starszy i znacznie mniej... przyjemny dla oka. Wystarczy już! Nie mogę przecież cały czas rzucać ukradkowych spojrzeń w stronę bicepsa i mięśni ud Filipe, przęających się przy zmianie biegu, jego brązowych loków falujących na wietrze i profilu twarzy z idealnie prostym nosem, i... Będę zadowolona, jak już dojedziemy do tego miasta!

Zatory na drodze i okropne tłumy w ogromnym nadmorskim kurorcie sprawiają, że zaczynam niemal tęsknić za swoim spokojnym i odosobnionym więzieniem! Filipe dostrzega moje onieśmienie na widok setek kolorowych butików wypełniających ulice i używając angielskiego pomieszanego z baskijskim i paroma gestami, proponuje, że zabierze mnie do spokojniejszej dzielnicy. Z wdzięcznością podążam za nim przez sieć uliczek w zabytkowej dzielnicy, aż w końcu dochodzimy do brukowanego placu w cieniu drzew morwy. Filipe wchodzi do kameralnego sklepiku, ucina sobie krótką pogawędkę po baskijsku z kierowniczką o imieniu Galéria i zostawia mnie z nią, kiwając głową na zachętę. Urocza kobieta najpierw mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, a potem zaprasza dalej, bym przyjrzała się zawartości półek. W oczy rzuca mi się szafirowa sukienka z głębokim dekoltem, wykonana z lekkiego, jedwabistego materiału. Biorę ją i przykładam do siebie przed lustrem. Jestem... jest piękna, tylko nie pasują do niej moje

trampki u spodu znoszonych džinsów. Całość wygląda niezbyt elegancko. Pośpiesznie odkładam sukienkę na półkę, czując, że moje policzki płoną rumieńcem. Nigdy nie odważyłabym się założyć takiej rzeczy. Dla odmiany zaczynam oglądać koszulki i wybieram jedną szarą i jedną czarną. Mogłabym nosić je na zmianę z tymi dwoma lub trzema, które zabrałam ze sobą. Po chwili wraca Galéria, z rękami pełnymi ubrań na wieszakach, które rozwiesza na drążku, po czym przywołuje mnie gestem dłoni. Podłoga jest cała usiana pudełkami z butami: czółenkami z odkrytą piętą, baletkami, sandałami i szpilekami, w różnych kolorach. Jest ich tyle, że można dostać zawrotów głowy! Zgodnie z prośbą Galerii podchodzę bliżej i przesuвам palcami po wieszakach, choć nie potrafię nic wybrać, bo wszystkie te stroje są jak dla mnie za bardzo kobiece! Potrząsam głową i wręczam jej dwie koszulki, które trzymałam przyciśnięte do piersi. Wkładam rękę do kieszeni po pieniądze, lecz Galéria energicznie kręci głową, by wyrazić sprzeciw. Wzdycha z uśmiechem, po czym pakuje koszulki do torby i wręcza mi ją. Po wyjściu ze sklepu jestem okropnie zażenowana!

Czuję się całkowicie zagubiona. Filipe czeka na zewnątrz. Uprzejmie odbiera ode mnie plastikową torbę i wręcza mi papierową.

– *Carise? Wiśnie?*

Torebka jest po brzegi wypełniona lśnącymi, ciemnoczerwonymi wiśniami. Wyglądają na idealnie dojrzałe i w normalnej sytuacji zaczęłabym się nimi objadać bez opamiętania. Jestem jednak zbyt zestresowana i kręcę przecząco głową. Widzę, że jest zawiedziony. Gdy idziemy z powrotem do samochodu, nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy ani nic powiedzieć. A potem przez całą drogę powrotną udaję, że śpię. Boże, jestem beznadziejna!

Co? Czyżbym faktycznie zasnęła? Wróciliśmy już na zamek? Drzwi od strony kierowcy są otwarte, a Filipe zniknął. Energicznie pocieram oczy i z trudem wysiadam z samochodu. Przede mną na tarasie stoi niewielki stolik pod parasolem. Rozglądam się dookoła, ale nikogo nie ma w pobliżu. Podchodzę do stołu. Ktoś podał lekki posiłek dla jednej osoby. Ciekawe, gdzie jest ojciec? Czekając na niego, nalewam sobie dużą szklankę wody i, ponieważ nikt nie powiedział, co mam robić, częstuję się serami i pysznymi owocami. Od razu poprawia mi się samopoczucie i postanawiam zajrzeć do koni. Tęskniłam za nimi!

Najwyraźniej coś mnie ominęło, gdyż zastaję całkowicie niespodziewaną sytuację. Hannibal wrócił i jeździ na Miszy na oklep! Nie ma na sobie butów ani nic innego poza koszulką polo i bryczesami do jazdy konnej! Z niedowierzaniem podchodzę do padoku, lecz ojciec po cichu daje mi do zrozumienia, że powinnam odejść. Acha, przeszkadzam im w czymś? Odsuwam się bezszelestnie i obserwuję Hannibala. Siedzi wyprostowany jak struna, z rękami zaciśniętymi na grzywie Miszy, który jest równie nieruchomy jak jeździec. Spogląda gdzieś w dal, a jego klatka piersiowa unosi się i opada w tempie wskazującym, że Hannibal zmusza się do powolnego oddychania. Ojciec przemawia bardzo spokojnym głosem. Nie wiem, co dokładnie mówi, ale widzę, że Hannibal kiwa głową. Misza zaczyna powoli iść. Ręce jeźdźca wściekle ciągną za jego grzywę, jakby to były lejce, lecz pokojowo nastawiony Misza nie wygląda na zirytowanego i kontynuuje spacer, zataczając kółka wokół ojca. Stopniowo ciało Hannibala odpręża się. Opuszcza ręce, rozluźnia miednicę i zaczyna się poruszać zgodnie z rytmem konia zamiast przeciwko niemu. Po chwili ojciec prosi Miszę, by zawrócił i zaczął iść w drugim kierunku. Nogi Hannibala znów się napinają, a ręce i stopy unoszą się. Wkrótce jednak uspokajają go regularne ruchy konia i rady ojca. Zaczyna się rozluźniać. Ojciec mu gratuluje, ale taki postęp jest dla niego niewystarczający. Prosi Hannibala, by puścił grzywę konia i położył ręce na swojej głowie. Zanim niepewny jeździec w końcu go posłuchał i położył ręce na głowie, ojciec musiał stanowczo powtórzyć swoje polecenie. Gdy Hannibal spostrzega, że koń nie reaguje i wciąż posłusznie spaceruje, zamiast strachu na jego twarzy pojawia się wyraz przyjemnego zaskoczenia. Po chwili ojciec prosi go, by zrobił coś jeszcze. Jednak Hannibalowi się to wyraźnie nie podoba, ponieważ opuszcza ramiona i kręci głową.

Ojciec zatrzymuje Miszę i podchodzi do niego. Wymienia z nim kilka zdań, po czym Hannibal ustępuje. Ojciec trzyma go za nogę, a on pochyla się w przód i obejmuje konia za szyję, z wyrazem nieufności i niemal wstępu na twarzy. Grzeczny Misza pozwala mu na to i widzę, że plecy Hannibala nieco się rozluźniają. Następnie ojciec znów woła do Miszę, by kontynuował spacer, a sam przez chwilę idzie obok niego, po czym stopniowo puszcza nogę Hannibala. Z początku Hannibal zastyga w bezruchu, lecz po pewnym czasie pozwala koniowi swobodnie spacerować, siedząc na nim bez stawiania oporu. Ponieważ ojciec celowo nie wydaje dalszych poleceń, Misza, jak wszystkie grzeczne konie, zaczyna się paść, przechodząc od jednej kępki trawy do drugiej. Przestraszony Hannibal nie śmie się poruszyć, aż w końcu ojciec wybucha śmiechem i mówi do niego, że może się już obudzić, a nawet zsiąść z konia, jeśli ma ochotę.

Wymykam się cicho, słysząc urywki rozmowy, w której często padają takie słowa jak oddech, pewność siebie, wytrwałość, cel i Zaldia. Jeśli celem Hannibala jest szybkie opanowanie jazdy na takim koniu jak Zaldia, będzie musiał zachowywać się dużo pewniej i swobodniej niż teraz...

Szukam wzrokiem Myszy i Zaldii. Acha, są na swoich padokach, z dala od Miszy. Podejrzewam, że ojciec rozdzielił konie, by tamta dwójka nie przeszkadzała w budowaniu relacji między Miszą a Hannibalem. Oboje spokojnie się pasą i wygląda na to, że Zaldia powoli aklimatyzuje się w nowym środowisku. Bardzo mnie to cieszy. Zaldia rozciąga swoją potężną szyję, wdychając słone powietrze i potrząsając grzywą. Obserwuję, jak pracują jego mięśnie, gdy robi kilka kroków w stronę oceanu. Ten koń łączy w sobie siłę i elegancję. Jest naprawdę wspaniały. Któż rozpoznałby w nim pokaleczonego, wycieńczonego, dzikiego rumaka o gniewnym usposobieniu, którego przygarnęliśmy kilka lat temu?

Byliśmy w trasie i urządzaliśmy przedstawienie w zachodniej Syberii. Usłyszeliśmy, że na Stepie Kułundyjskim, między Obem, Irtyszem i Kazachstanem, znajduje się gospodarstwo hodowlane dla koni rasy hiszpańskiej. By zwiększyć widowiskowość naszych pokazów jeździeckich, wujek Wasyl przekonał ojca do zakupu kilku nowych koni. Wybrali konie rasy andaluzyjskiej ze względu na ich elegancki chód i naturalny talent do piaffu i pasażu. Ich łagodne pyski wskazują, że po wytresowaniu i właściwym ujeżdżeniu zachowują się w sposób posłuszny i dystyngowany. Są również często wykorzystywane na planach filmowych, gdzie ceni się ich usposobienie i łagodny temperament. Można na nich polegać, są bardzo dzielne i zawsze mają miły charakter, a gdy nauczą się, jak elegancko chodzić po cyrkowej arenie ku uciesze widowni, robią to z przyjemnością.

Udaliśmy się zatem do gospodarstwa, którego właściciel, mężczyzna o imieniu Wania, z długimi tłustymi włosami i diabolicznym wyrazem twarzy, miał na sprzedaż cztery źrebaki w rozsądnej cenie. Stały w wąskich boksach w ciemnym, blaszanym hangarze. Gdy ojciec zobaczył, jak bardzo są wychudzone i osowiałe, skrzywił się i już chciał wychodzić, lecz wujek Wasyl, urodzony dyplomata, powiedział, że chce je zobaczyć w świetle dziennym, w ruchu.

Ojciec kręcił z niezadowoleniem głową, obserwując nieporadny chód wymizerowanych i przestraszonych koni, które Wania ciągnął za postronki, ostro im przy tym ubliżając. Wymamrotał do wujka „niet” i odwrócił się do wyjścia, gdy nagle usłyszał okropny łoskot dochodzący z tyłu hangaru. Wściekłe rżenie, któremu towarzyszyły uderzenia o blachę wstrząsające całym budynkiem. Rozjuszony Wania wręczył postronki źrebaków Wasylowi, a sam pognął na tyły budynku.

– Zaldia, ty paskudo! Zaraz ci dam nauczkę!

Ojciec pobiegł za Wanią, a ja razem z nim, przebijając swoimi krótkimi nóżkami tak szybko, jak tylko byłam w stanie. Wania chwycił palcat i zaczął nim bezlitośnie okładać szarego rumaka, który szamotał się w boksie, kopiąc blaszane ściany i walcząc z krępującymi go linami. Całe jego ciało pokryte było pręgami i śladami krwi, oczy zbieleły mu z wściekłości, a w kącikach ust pienila się ślina. Ojciec rzucił się na Wanię, wyrwał mu bicz z rąk, a potem przyłożył mu prosto w twarz. Oszołomiony mężczyzna, leżąc na zakurzonej ziemi i pocierając nos, zapytał z niedowierzaniem w głosie:

– Ale... jak u licha mam go sprzedać, jeżeli go najpierw nie wytresuję?

Ojciec podniósł palcat i już szykował się, by wymierzyć Wani tę samą karę, którą on zastosował wobec biednego rumaka, lecz wtedy ja wykrzyknęłam:

– Nie! Przestań, przestań, błagam!

Ojciec spojrział na mnie w taki sposób, jakbym była jakąś kosmitką. Jego twarz była czerwona jak burak i sprawiał wrażenie równie szalonego co ten maltretowany koń. Po niesamowicie długim wahaniu wypuścił z ręki palcat i energicznie przetaił twarz, jakby

chcąc się pozbyć resztek gniewu, któremu dał się ponieść. Następnie wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów obwiązanych tasiemką i rzucił go w stronę Wani, który odruchowo zasłonił rękami twarz, obawiając się dalszych ciosów.

– Biorę żrebaki i ogiera w tej samej cenie. Módl się, żebyśmy się już nigdy nie spotkali.

Ojciec zawsze wzbudzał we mnie strach pomieszany z szacunkiem. Zaczęłam go kochać, dopiero gdy zobaczyłam, że jest zdolny do odczuwania empatii wobec swoich koni, a gdy się nimi opiekuje lub, co ważniejsze, próbuje zdobyć ich zaufanie, ma dla nich nieskończone pokłady cierpliwości.

Nie było łatwo wprowadzić koni do przyczepy na farmie. Żrebaki, po napojeniu i przekupieniu marchewkami, pieszczotami i czułymi słówkami, w końcu wspięły się po rampie na przyczepę. Pozostało już tylko namówić do wejścia Zaldię.

Wujek Wasyl, mimo że wychował od małego niejednego tygrysa, był zszokowany zachowaniem tego rozjuszonego konia i trzymał mnie z dala od boksu.

– Popełniłeś błąd, kupując to zwierzę, Siergieju. To jest dzika bestia, której nie da się okiełznać. Pozabija nas, zanim będziemy w stanie się do niego zbliżyć.

Skrepowany linami ogier obserwował nas kątem oka. Jego ciałem wstrząsały nerwowe drgawki, a mięśnie miał napięte jak cięciwa łuku.

– Nie mogę go tu zostawić – odparł mój ojciec.

Potem podszedł do ogiera, powoli lecz zdecydowanie, z otwartymi dłońmi, przemawiając cichym głosem:

– Nie zrobię ci krzywdy, Andaluzyjczyku. Pozwól, że cię oswobodzę.

Cały czas mówił do niego uspokajającym tonem, a melodia jego głosu brzmiała równie hipnotyzująco jak hang, na którym grywał mój kuzyn Igor. Jest to swego rodzaju okrągły, metalowy bębenek z wierzchołkiem na środku i pięcioma wgłębieniami przy brzegach, przypominającymi odciski palców. Wygląda zupełnie inaczej niż bębny basowe, na których gra się przy pomocy pałeczki. Gdy Igor zręcznie przebiera palcami po spoczywającym na jego udach bębenku, głaszcząc go niczym kota, wibracje i dźwięki przeplatają się ze sobą, tworząc nastrojową melodię. Dźwięki hanga, na którym Igor gra wieczorem przy ognisku, rozbudzają naszą wyobraźnię i sprawiają, że zatapiamy się w swoich marzeniach. Zamykamy oczy i widzimy, jak pod zamkniętymi powiekami zaczynają się rysować obrazy wesole lub pełne nostalgii, a w swoich marzeniach podróżujemy po pluskających falach ciepłych mórz lub na jedwabistych skrzydłach ptaków. Tygrysy delikatnie mruczą, naśladując ten głos dochodzący z otchłani czasu, z sekretnej łona ziemi.

Czy właśnie tego głosu słucha Zaldia? Wciąż drży i zachowuje czujność, niespokojnie poruszając uszami i nozdrzami, lecz pozwala ojcu podejść. Lecz gdy uznaje, że człowiek podszedł zbyt blisko, daje o tym wyraźnie znać, obnażając zęby i kładąc uszy płasko po sobie. Znowu zaczyna się burzyć. Z każdym krokiem ojca Zaldia próbuje zerwać krępujące go liny, wrzynające się gwałtownie w jego boki, a także napiętą skórzaną uździenicę

przymocowaną do jego czoła i policzków, która kaleczy mu głowę i gardło. Ojciec zastyga w bezruchu na dłuższy czas i przemawia do niego. Następnie powoli wyciąga zza pasa długi nóż i trzyma go przed koniem, który zaczyna niespokojnie tupać, znów uderzając bokami w blaszane ściany boksu. Ojciec zmienia nieco ton głosu na bardziej gardłowy. Nie słyszę jego słów, ale widzę, że ogier próbuje się odwrócić do niego przodem. Przestaje uderzać ciałem o ściany i wreszcie stoi nieruchomo. Ojciec znów powoli do niego podchodzi. Szybkim i zdecydowanym ruchem przecina linę krępującą boki konia. Potem błyskawicznie się cofa, ponieważ ogier zaczyna się szamotać, kopać i skakać jak owca, nie mogąc stanąć dęba i uciec. Ojciec czeka, aż koń się uspokoi, i cały czas ciągnie swoją hipnotyzującą przemowę. Po chwili klatka piersiowa Zaldii, rozszerzająca się i kurcząca jak akordeon, zaczyna zwalniać tempo ruchów, a oswobodzone nogi tupią na brudnej ściółce, jakby nie wiedziały, co zrobić z tą częściową wolnością. Ogier ciągnie więzy na swojej głowie, lecz szybko orientuje się, że sam nie będzie w stanie ich zerwać. Spogląda więc na człowieka przez dłuższą chwilę, a potem odsuwa się, by zrobić mu miejsce w boksie. Ojciec wchodzi do środka, staje z boku konia, unikając kontaktu wzrokowego, i przecina pozostałe więzy, a potem wycofuje się do rogu boksu. Nareszcie wolny, Zaldia potrząsa głową i rży przeciągle, a potem staje dęba przed ojcem. Moje serce na chwilę się zatrzymuje. Czuję, jak wujek Wasyl w napięciu zaciska dłoń na moim ramieniu. Czyżby jego przepowiednia miała się zaraz spełnić? Czy ogier strati ojca, by ukarać go za to, że jest człowiekiem?

Wydaje się, że Zaldia stoi w tej pozycji już całe wieki, ale w końcu opada na cztery nogi i wychodzi ze swojego metalowego więzienia. Jakby odurzony nowo odkrytą wolnością, ogier galopuje z pełną prędkością i kręci się w kółko, na przemian kopiąc i stając dęba, a potem ucieka na step i znika za wzgórzem. Patrząc na ojca i dostrzegam załóżki uśmiechu na jego twarzy, gdy obserwuje na horyzoncie drobny punkt, który wkrótce znika. Wygląda, jakby przeszedł niesamowitą przemianę. A potem ukradkowym gestem wyciera oczy.

Wasyl poklepuje mnie po głowie. Spoglądam na niego i widzę ogromną radość pomieszaną z ulgą. Ojciec natomiast sprawia wrażenie, jakby uwolnienie maltretowanego konia oznaczało rozwiązanie wszystkich problemów świata, zadośćuczynienie za każdą stratę oraz przywrócenie pasji i nadziei w życiu.

Podróż powrotna przez wyboiste drogi opustoszałego Stepu Kułundyjskiego, z czterema źrebakami w przyczepie, przebiegała w ciszy. Nikt nie chciał zepsuć pełnego emocji nastroju, wywołanego uwolnieniem Zaldii. Co jakiś czas źrebaki, wciągając nozdrzami unoszące się na wietrze aromaty, na swój sposób komentowały krajobraz, rżąc z zaskoczeniem w reakcji na nowe zapachy, wiatr szeleszczący w trawach pszenicy kwitnącej na czarnoziemach, szybujące w powietrzu jastrzębie i biegnące wśród kasztanowców suhaki, prezentujące obecnie swoje letnie umaszczenie. W pewnej chwili nagle wszystkie razem zaczęły głośno rzeć. Rżały donośnie i nieustannie, jakby dostrzegły piękne pastwisko lub znajomego konia. Wujek Wasyl odruchowo spojrział w tylne lustro i na jego twarzy pojawił się wyraz ogromnego zaskoczenia. Zwolnił i zaparkował na poboczu, a potem spojrział na ojca. Ojciec na wpełzł drzemał i nie mógł zrozumieć, dlaczego samochód się zatrzymał.

– Wsiadaj, Siergiej! Mamy gościa!

Zdezorientowany ojciec przetarł twarz, by się obudzić, i otworzył drzwi, gderając z niezadowoleniem. Lecz gdy tylko zobaczył naszego gościa, od razu przestał protestować. Był to Zaldia! Musiał biec w ślad za nami. Czyżby był przywódcą stada i chciał chronić źrebaki? A może tylko potrzebował towarzystwa?

– Nadiu, przynieś mi tu worek z marchewkami – wyszeptał ojciec.

Zaldia schował się za drzewami, obserwując nasze ruchy. Ojciec wziął do ręki dużą marchewkę i podszedł na skraj kasztanowego zagajnika, zatrzymując się w przyzwoitej odległości od konia. Następnie wyciągnął w jego stronę marchewkę i zaczął go wołać spokojnym głosem. Ze ściągniętymi w tył ustami i rozszerzonymi nozdrzami, koń ochoczo wachał marchewki. Parsknął, dając wyraz swemu łakomstwu i ciekawości, po czym zaczął przebierać nogami za linią drzew, nie mogąc się zdecydować, czy zza nich wyjść. Podekscytowane źrebaki w przyczepie donośnie i wesoło zarżały na powitanie swojego znajomego. Zaldia wciąż jednak nie wychodził. Ojciec położył więc marchewkę na ziemi i zrobił kilka kroków w tył, cały czas wołając ogiera i trzymając ręce po bokach, z otwartymi dłońmi. Po chwili wahania Zaldia wyłonił się zza drzew i zaczął dreptać, to w jedną, to w drugą stronę. Potem postanowił ruszyć naprzód i podniósł marchewkę z ziemi, po czym znów wrócił do zagajnika. Ojciec wyjął kolejną marchewkę z worka, który przyniosłam, i podszedł kilka kroków bliżej. Worek był bardzo ciężki, więc położyłam go na ziemi i usiadłam obok. Ojciec wciąż przemawiał do Zaldii, próbując go skusić, aby się przybliżył. Koń przez chwilę dreptał z niezdecydowaniem, podszedł i skubnął połowę marchewki z wyciągniętej dłoni ojca, po czym znów zrobił krok w tył i zaczął się miotać to w jedną, to w drugą stronę. Następnie schrupał drugą połowę marchewki, wycofał się, podreptał, a potem podbiegł do mnie. A w każdym razie do otwartego worka z marchewkami, który leżał przede mną.

– Nie rób gwałtownych ruchów, Nadiu – pouczył mnie ojciec zatroskanym głosem.



Zastygłam w bezruchu, pozwalając Zaldii podejść do worka, podreptać i zjeść tyle soczystych, słodkich marchewek, ile zapragnął. Czy przez to, że byłam o połowę mniejszym człowiekiem, bał się mnie o połowę mniej? W każdym razie nie czułam w jego obecności strachu, a jedynie współczucie dla biednego zwierzęcia z otwartymi ranami. Przemówiłam do niego łagodnym głosem i nie zważając na to, że mogę go odstraszyć, wyciągnęłam rękę i pogłaskałam go po szyi w miejscu, gdzie nie było ran. Zadrżał, lecz nie odsunął się.

Nagle usłyszeliśmy niespodziewany pisk i oboje aż podskoczyliśmy. Przez chwilę obawiałam się, że Zaldia ucieknie. Zrobił krok w tył i wzmożył czujność. Wujek Wasyl otworzył drzwi i rozmawiał z moim ojcem.

– Podejdź z workiem do przyczepy, bardzo powoli – powiedział ojciec.

Podniosłam się bardzo ostrożnie. Zaldia drżał z niepokojem, ale nie uciekł. Wycofałam się w kierunku przyczepy, co pewien czas odruchowo kładąc za sobą marchewki, które utworzyły ślad jak z okruszków chleba w bajce o Jasiu i Małgosi. Z początku Zaldia nie chciał za mną pójść i zarżał, by okazać swoją frustrację. Dopiero, gdy wsiadłam z powrotem do samochodu i powoli ruszyliśmy, Zaldia postanowił podążyć śladem chrupiących marchewek. Przez całą drogę towarzyszyło mu zachęcające rzenie źrebaków i pobiegł za nami aż do samego obozu. Gdy dotarliśmy na miejsce, dołączył do innych koni na padoku. W ten oto sposób zyskaliśmy ogiera i cztery źrebaki, których trzeba było nauczyć wszystkiego od zera, zaczynając od miłości...

Mój ojciec włożył ogromną ilość czasu i energii w wychowanie Zaldii – przemawiając do niego, szkoląc go krok po kroku, zdobywając jego zaufanie i szacunek. Czasem chyba byłam zazdrosna o to, że poświęca mu aż tyle czasu kosztem mnie. Łączyła ich tak bliska więź, że nie pozostawało zbyt wiele miejsca dla innych. Gdy obserwuję ich razem, jak idą obok siebie ramię w ramię, widzę idealnie dobraną parę, która zna się tak dobrze, że potrafią się porozumieć bez słów. Czasem zastanawiam się, czy to właśnie nie Zaldia „uleczył” ojca kilka lat po śmierci mojej matki. Mimo że jest ogierem i wypracował sobie pozycję niekwestionowanego przywódcy cyrkowych koni, w pewnym sensie zawsze był wierny ojcu. Nikt nie uwierzyłby, że Zaldia może kiedykolwiek okazać posłuszeństwo wobec człowieka – miał przecież tyle dobrych powodów, by nienawidzić ludzi.

Mimo dystansu, jaki wytworzył się między mną a ojcem w trakcie jego opieki nad Zaldią, pewnym pocieszeniem było dla mnie to, że mogłam pokierować szkoleniem nowych źrebaków! Były niezwykle urocze, posłuszne, skore do zabawy i bardzo pojętne, dzięki czemu w krótkim czasie przyuczyliśmy kilka z nich do występów przed widownią. Gdy ćwiczyliśmy na zewnątrz, Zaldia bardzo dokładnie nas obserwował, ucząc się w ten sposób, jak może wyglądać jego relacja z troskliwymi ludźmi. Aż w końcu pewnego dnia, ku wielkiemu zdziwieniu ojca, przeskoczył przez ogrodzenie padoku i dołączył do nas!

Nie chce mi się wstawać. Hannibal robi ogromne postępy. Potrafi swobodnie jeździć przy każdej prędkości, choć zdecydowanie woli siedzieć na Miszy lub Myszy w siodle zamiast na oklep. Nie mam co robić, bo Hannibal pracuje tylko z ojcem. A ten przez ostatnie dwa dni był w podłym nastroju, odkąd pewnego ranka nakryliśmy Hannibala na arenie, usadowionego na Myszy z siodłem i uzdą i okładającego ją nieprzytomnie batem w celu skłonienia konia do wypełniania poleceń.

– Nie wolno ci bić moich koni! Niczego się jeszcze nie nauczyłeś? – zagrział ojciec, po czym podbiegł do niego, wyrwał mu z rąk palcat i zmusił do zejścia z konia. – Na dłuższą metę żadnego konia nie nauczysz posłuszeństwa, używając przemocy. Natychmiast stąd wyjeżdżam i zabieram moje konie ze sobą!

Reszty kłótni nie słyszałam, bo byłam zajęta wyprowadzaniem biednej Myszy z areny, jak najdalej od tego okropnego człowieka. Jakoś Hannibal zdołał jednak przekonać ojca, by zmienił zdanie, ponieważ wciąż tkwimy w tym przeklętym zamku. Dziś miał jeździć na Zaldii, ale chyba trzeba będzie te plany przełożyć na inny termin ze względu na załamanie pogody. Niebo zapomniało, że jego właściwy kolor to niebieski, i przyobleka się na przemian w żalobną szarość lub czerń. Drzewa uginają się pod siłą wiatru oraz intensywnym deszczem, który zatapia wszystko dookoła, łącznie z moją motywacją.

W końcu postanawiam się przemóc i wyskakuję spod kołdry, by rozprostować nogi. Planowałam pospacerować w słońcu brzegiem klifu, ale pada, więc korzystając z okazji, pozwiedzam wnętrza zamku. Jeden z pracowników, ten, którego imienia nie jestem w stanie wymówić, chyba wspominał o jakiejś bibliotece? Ponieważ stale jesteśmy w podróży, rzadko kiedy możemy wypożyczać książki. W ogóle niewiele w życiu przeczytałam, poza starymi podręcznikami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie wśród dzieci cyrkowców! Po drodze do holu wejściowego nie spotkałam nikogo. Wołam:

– Yyy... Jest tu ktoś?

Odpowiada mi jedynie echo własnego głosu. No nic, nieważne. Przed wejściem na kręte schody przez chwilę się waham. Tym razem przez szklaną kopułę nie wpadają słoneczne promienie rozświetlające wszystko wokół. Szaro-fioletowe światło sprawia, że rodzinne portrety wyglądają przygnębiająco, a oczy zmarłych śledzą mnie niczym duchy. Zaczynam żałować, że wtargnęłam do świata Hannibala. Po chwili zauważam, że im wyżej się wspinam, tym nowocześniejsze stroje noszą postaci na portretach. A teraz co dalej? Nagle kolekcja obrazów się kończy. Oglądam ostatni portret. Przedstawia on czteroosobową rodzinę, ubraną w stroje z lat 70. lub 80. XX wieku, jak sędzę. Wszyscy się uśmiechają z wyjątkiem chłopczyka o brązowych włosach, który ma sześć lub siedem lat. Przyglądam się uważnie jego twarzy – przypomina Hannibala. Być może to efekt starzenia się obrazu, ale wygląda na to, że jego oczy mają różne kolory: jedno jest niebieskie, a drugie brązowe. Wydawało mi się, że oczy Hannibala są szaroniebieskie? Niepokojący wyraz jego twarzy sprawia, że przenoszę wzrok na młodszego chłopca o jasnych włosach, który dumnie pozuje obok Hannibala. Czy to jego młodszy brat? Dlaczego w tym miejscu kolekcja

obrazów nagle się kończy?

Wiedząc, że nie uzyskam odpowiedzi na te pytania, wspinam się wyżej, na sam szczyt schodów. Słyszę, jak krople deszczu nieustannie bębnią w szklaną kopułę. Chmury kłębią się wściekle, rzucając ruchome cienie na ściany i nienagannie wywoskowany parkiet z jasnego drewna. Na chwilę zamykam oczy i wdycham nowe zapachy wosku, drewna i skóry. Po chwili skupienia wyczuwam też chyba zapach papieru, takiego jak w naszych starych podręcznikach. Uśmiecham się i otwieram oczy: Wkroczyłam do królestwa książek!

Ściany są wypełnione książkami, stojącymi na półkach o wysokości od czterech do sześciu metrów. U spodu znajduje się wąska szyna, a na górze płoza, co pozwala przesuwać między półkami drewnianą drabinę. Z lekkim drżeniem palców odpycham drabinę na bok. Odsunęła się gładko, bez jednego skrzypnięcia. Trzęsąc się z podekscytowania, wchodzę po szczeblach drabiny i podziwiam wydrukowane na skórzanych grzbietach książek złote litery, które przesuwiają się przed moimi oczami jak na filmie puszczanym w przyspieszonym tempie. Życia by nie starczyło, żeby przeczytać wszystkie dzieła zgromadzone w tej bibliotece! Wchodzę na sam szczyt drabiny i napawam się widokiem tych wszystkich papierowych skarbów. Nie czuję się jak pan świata, lecz raczej jak kapitan statku obserwujący z pokładu rufowego swój cenny ładunek: uniwersalną wiedzę!

Ostrożnie biorę książkę z półki i zatapiam nos w jej kartkach, wdychając jej odurzający słodki zapach. Gdybym mogła zatrzymać czas, zamknęłabym się tutaj i pochłonęła wszystkie te lektury jedna po drugiej, od góry do dołu, lub zdałabym się na ślepy los i zobaczyłabym, która przyciągnie moją uwagę! Nagły hałas sprowadza mnie z obłoków na ziemię – mało brakowało, a spadłabym z drabiny. Ktoś zamknął frontowe drzwi! Szybko odkładam książkę na miejsce i schodzę z drabiny, próbując nie narobić za wiele hałasu. Chowam się w odległym kącie biblioteki, skulona między półkami jak mała dziewczynka czekająca na reprimendę, i nasłuchuję zbliżających się kroków.

Rozpoznaję głos starszego pracownika, który mówi sam do siebie. Nie, raczej odpowiada komuś przez telefon, sądząc po przerwach w rozmowie.

– Jak pan sobie życzy, panie Hannibalu... Sztambuł, niezwłocznie. Tak jest, zajmę się tym... Jutro o dziesiątej rano...

Głos stopniowo zanika, drzwi się otwierają i zamykają, a potem znów zapada cisza. Uff! Z westchnieniem ulgi opieram się o półki. Nagle podłoga obraca się pode mną i spadam do tyłu w ciemność. Pomocy!

## Turcja – Zachariasz

Na spotkanie z moim starym przyjacielem Yilmazem umówiłem się w *Kapalıçarşı*, czyli na Krytym Bazarze w Stambule, który jest najstarszym zadaszonym targowiskiem na świecie. Robiłem z nim okazjonalne interesy – sprzedawałem niektóre rzeczy ofiarowane przez prawosławnych wiernych, którzy przybywali do klasztoru, by oddać jakieś bezużyteczne graty w zamian za obietnicę mikroskopijnego kawałka raję. Czasem jednak pośród tych rupieci trafiały się skarby o dużej wartości rynkowej. Rozpoznać mógł je tylko specjalista, a Yilmaz zawsze oferował najlepszą cenę za takie usługi. Pomijając jego dobre maniere i dyskrecję, czy naprawdę mogę nazywać przyjacielem kogoś, z kim łączy mnie relacja oparta na wzajemnych korzyściach? Mimo tego jest on jedną z niewielu osób, którym mogę zlecić wykonanie – przy zachowaniu całkowitej poufności – takiej usługi jak przyjęcie na zapleczu nieznanego, którego tożsamość starałem się za wszelką cenę utrzymać w tajemnicy.

Ustaliłem, że spotkanie odbędzie się tuż przed zamknięciem bazaru, parę minut przed siódmą. On na pewno zjawi się na czas. Nie należy bowiem do tych osób, które gubią się w labiryncie korytarzy, przejść, podwórek i pięćdziesięciu ośmiu alejek, gdzie pod kolorowymi łukami z niebieskich, czerwonych i zielonych płytek mieszczą się ponad cztery tysiące sklepów. Hannibal nie będzie zwracał uwagi na okrzyki sprzedawców dywanów i uda się prosto na „Stary Bazar”, czyli do głównej i najstarszej caravanserai, zlokalizowanej pośrodku tych wszystkich korytarzy. W branży antyków Yilmaz znany jest jako biały wilk. Odsuwa ciężką adamaszkową zasłonę chroniącą jego zaplecze i mieszkanie przed wzrokiem i hałasem tłumu. Skinieniem głowy wita gościa i zaprasza go do wygodnej alkowy, gdzie czekam ja.

Wiele razy powtarzałem w głowie scenariusz tego spotkania. Nie będę próbował przeproszać. Nie pozwolę, by zadrżał mi głos. Nie będę mu się kłaniał. To już przeszłość. W chwili obecnej jesteśmy równorzędnymi partnerami w oczach boga biznesu. Lecz gdy Hannibal siada naprzeciwko i kładzie przede mną na stole skórzaną walizkę, o wiele większą niż ta, którą miałem przekazać Leyli, żołądek podchodzi mi do gardła i mimowolnie przetykam ślinę. Ten człowiek potrafi zmusić słabszych do posłuszeństwa samą tylko swoją obecnością, a jego osadzający wzrok jest jak gilotyna. Odwracam wzrok i wręczam mu pergamin zawierający opowieść greckiego żołnierza oraz rysunek fragmentu gwiazdy Zeusa. Ostrożnie rozwija pergamin i przegląda go bez śladu emocji. Następnie z powrotem go zwija i wbija we mnie wzrok.

– A zatem, Zachariaszu, nie dowiedziałeś się z tego pisma, gdzie jest świątynia Zeusa, której kapłanom żołnierz powierzył fragment gwiazdy?

– Nie.

Próbowałem co prawda odtworzyć trasę podróży żołnierza, przeszukując archiwa dotyczące perskich i hellenistycznych odkryć archeologicznych oraz studiując najstarsze

hinduskie, perskie i greckie mapy topograficzne świata. Zorientowałem się jednak, że nie osiągnę tego celu w rozsądnym czasie – a przynajmniej nie samodzielnie i nie bez dostępu do szczegółowych informacji na temat tej całej historii z gwiazdą Zeusa. Dlatego postanowiłem sprzedać Hannibalowi dokument, który może go doprowadzić do jednego z fragmentów gwiazdy, i zrezygnować ze znacznie większego, choć dużo mniej pewnego zysku.

W reakcji na moją negatywną odpowiedź Hannibal kręci głową, wstaje i wsuwa pergamin do wyściełanej kieszeni wewnętrznej w marynarce.

– W takim razie nie jesteś mi już dłużej potrzebny – stwierdza, mierząc do mnie z pistoletu z tłumikiem. – Darowałbym ci życie, gdybyś mnie nie zdradził za pierwszym razem.

Rozlega się stłumiony syk i czuję potworny ból rozprzestrzeniający się po całej klatce piersiowej. Patrzę, jak zamaskowana postać Hannibala znika za zasłoną i słyszę, jak mówi stłumionym głosem:

– Zatrzymaj sobie te pieniądze na pokrycie kosztów sprzątnia, mój przyjacielu.

Gdy dociera do mnie świadomość, że dogorywam właśnie w kałuży krwi, zupełnie sam w tej pożyczonej od „przyjaciela” alkwie, gdyż błędnie założyłem, że jestem równorzędnym partnerem Hannibala w interesach, ostatkiem sił łapię za telefon komórkowy. Przesuwam sztywniejącymi palcami po ekranie, wybieram zdjęcie pergaminu, które zrobiłem, by móc go dalej potajemnie studiować, i przesyłam fotografię do ostatniej osoby, którą chciałbym mieć za sojusznika: Egipcjanki Leyli. Po wykonaniu tej ostatniej czynności telefon wypada mi ze zdrtwiałych dłoni i tracę przytomność, uśmiechając się na widok demonów, które po mnie przyszły. Jeszcze tego pożałujesz, Hannibalu...

*Egipt – Leyla*

– Czy ustaliliście już z Johnem datę ślubu, *habibti*? Auć!

Trochę za mocno pociągnęłam za przyklejony do uda pani Arfaoui pasek z pastą cukrową. Niech ma za swoje! Odkąd ciotka Wadiha ujawniła parę informacji na temat mojego chłopaka, klientki salonu kosmetycznego *Słodki pocałunek* oblepiły mnie jak muchy plaster miodu. Nie mogą sobie znaleźć kogoś innego do gnębienia? Poza tym o małżeństwie zupełnie nie ma mowy. John nawet jeszcze nie przedstawił mnie swoim rodzicom... Co prawda mieszkają w Seattle, czyli dość daleko od Kairu, ale to żadna wymówka. Poza tym i tak nie mogłabym żyć w najbardziej deszczowym mieście Stanów Zjednoczonych... O nie, w kieszeni fartucha zostawiłam włączonego smartfona!

– Przepraszam na chwilę, pani Arfaoui, zaraz wrócę.

– Rozumiem, miłość nie może czekać! Ha, ha, ha!

Wywoskuję ją co do jednego włosa, łącznie z tymi na głowie. Albo nie, każę jej zjeść cały garnek wosku, żeby się wreszcie zamknęła! Biegnę na zaplecze, by sprawdzić wiadomość, którą właśnie otrzymałam.

Czytając jej treść, prawie dostaję zawału i czuję, jak uginają się pode mną nogi. Wiadomość głosi: „Pomścij mnie i znajdź to, zanim on to zrobi”.

Otwieram załącznik. Powiększam dokument, który wysłał mi brat Zachariasz, jeden z najemników Hannibala. Gdy rozpoznaję na rysunku niewidziany dotąd fragment gwiazdy Aleksandra Wielkiego, wpadam w przerażenie. Jeśli Hannibal go znajdzie, o ile jeszcze tego nie zrobił, będzie miał cztery z pięciu fragmentów gwiazdy! Tylko bez paniki, Leylo. Staram się uspokoić i przesyłam dokument członkom sieci z prośbą o pilną wideokonferencję. Następnie próbuję zadzwonić do brata Zachariasza, aby zapytać, skąd wziął ten dokument i dlaczego mi go przysłał, lecz po drugiej stronie nikt nie odbiera, nie włącza się nawet automatyczna sekretarka. O rany, to nie wygląda zbyt optymistycznie... No dobrze. Zdejmuję fartuch, zakładam dżinsy i trampki, łapię mój kask motocyklowy i daję znać ciotce, że muszę wyjść, nie wiadomo na jak długo. Gęste owłosienie nóg pani Arfaoui będzie musiało sobie jakoś poradzić beze mnie!

Wściekam się, że dojazd skuterem na uniwersytet zajmuje tak długo z powodu ogromnych korków blokujących ruch w Kairze przez całą dobę. W końcu jednak docieram do laboratorium komputerowego i biegnę na koniec sali, gdzie w rogu dostrzegam wolne stanowisko. Łączę się z naszą siecią, zakładam zestaw słuchawkowy z mikrofonem i przygotowuję się na nowe informacje – te dobre i te złe.

Jako pierwszy odzywa się Battushig. Macha do mnie z jednej części podzielonego ekranu.

– Cześć, Leyla. Mam nadzieję, że w Kairze nie jest zbyt gorąco?

– Witajcie. Jak daleko doszliście?

– Profesor Keusséoglou odczytuje tekst w Atenach. Naprowadził nas już na ślad jednego z żołnierzy Aleksandra Wielkiego, któremu generał Ptolemeusz najwyraźniej powierzył misję ukrycia...

– Czwartego fragmentu tej przeklętej gwiazdy! Czy rysunek się zgadza?

– Tak, Leylo – potwierdza profesor Temudjin. – Wszyscy historycy i geografowie z naszej sieci pracują nad tym dokumentem. Staramy się odtworzyć drogę żołnierza z Indii, choć relacja tego nieszczęśnika jest trochę chaotyczna.

– A ja co mogę zrobić? – wtrąca mój kochany John, który właśnie pojawił się na ekranie. Pewnie dopiero co wstał, sądząc po śladach poduszki na jego twarzy i zmierzwionych włosach, w których przypomina porażonego prądem kurczaka.

– Gdy już ustalimy w miarę dokładną trasę podróży – ciągnie profesor Temudjin – Leyla, ty i archeologowie możecie się przyjrzeć świątyniom poświęconym Zeusowi, które istniały pod koniec czwartego wieku przed Chrystusem.

– Powiedz mi, mój mały gołąbeczku, którego kocham bardziej niż rachatlukum, kiedy zamierzasz wrócić?

– Yyy... – odpowiada, z twarzą czerwoną jak papryczka chili – Leylo, nie włączyłaś prywatnej konwersacji...

– Ups! – moje oczy poszerzyły się z przerażenia. – Przepraszam, możecie wracać już do pracy...

Pomimo widocznego stresu członkowie sieci żegnają się z uśmiechem na zakończenie wideokonferencji. To właśnie ja, gamoniowata Leyla!

*Kraj Basków – Nadia*

Niechcący otworzyłam drzwi prowadzące do tajnego przejścia i jestem teraz uwięziona w wyściełanym pomieszczeniu bez okien i drzwi, ukrytym za biblioteką. Biorąc pod uwagę cały ten zaawansowany, futurystyczny sprzęt, który się w nim znajduje, myślę sobie, że tak mógłby wyglądać pokój z XXII wieku. Ściany pokryte są ekranami, ale żaden z nich nie jest włączony. Na środku stoi dość wysoki stół z polerowanego szkła, rzucający niebieską poświatę w ciemnym pomieszczeniu. Ze środka blatu wystają trzy dźwignie. Przypominają mi one drążki zmiany biegów, jakie widziałam w elektrycznych wózkach przy zamku. Pozbywam się tej dziwnej myśli i skupiam na tym, jak wrócić do biblioteki przez ukryte przejście. Wyobrażam już sobie, jak umieram z głodu w tym dźwiękoszczelnym pomieszczeniu, a gardło boli mnie od niesłyszalnych z zewnątrz krzyków o pomoc. W międzyczasie ojciec dręczy się i zamartwia, nie mogąc mnie znaleźć, i sprawdza każdy kamień przy dnie klifów, błagając ocean, by zwrócił mu ciało jego zaginionej małej dziewczynki. Właściwie to przyszedł mi właśnie do głowy znacznie gorszy scenariusz. Co, jeśli Hannibal, który jako jedyny wie o istnieniu tego tajnego przejścia, nakryje mnie tutaj, gdy wróci jutro o dziesiątej rano... W każdym razie jest już po mnie!

Gorączkowo popycham półki z książkami, opierając się o nie plecami, i licząc na to, że któraś z nich aktywuje jakiś mechanizm i będę uratowana. Później próbuję je odsunąć, ale sprawiają wrażenie przyklejonych do siebie. Potem staram się znaleźć wyjście w podłodze, ciągnąc ją i przesuwając, najpierw na stojąco, a potem na czworakach, lecz wszystkie te wysiłki spełzają na niczym. Przesuwam rękami po gołych ścianach pokoju, a potem po wyściełającym je gładkim, dźwiękoszczelnym materiale. Nie czuję jednak pod palcami żadnych nierówności, uchwytów czy zamków. To jest niemożliwe. Musi istnieć jakiś sposób, by dostać się do tego przekłętego korytarza od drugiej strony! A może do otwierania i zamykania niewidzialnych drzwi służą te dźwignie na szklanym stole?

Zdecydowanym krokiem podchodzę do stołu... a potem zastygam w bezruchu, gdy widzę, co się na nim znajduje. Czuję się kompletnie zagubiona, stojąc przed tymi przełącznikami, które wyglądają równie obco jak kokpit na statku kosmicznym. Miałam nadzieję, że będzie tu jakaś klawiatura, dzięki której mogłabym nie tylko spisać swój testament, ale i wezwać pomoc, na przykład wysyłając e-mail. Ale nie, poza trzema dźwigniami nie ma tu nic innego. Dotykam jednej z nich i niemal krzyczę z zaskoczenia, obserwując, co się dzieje.

Zawieszane na ścianach ekrany nagle się włączają. Zewsząd otaczają mnie ruchome obrazy, od których zaczyna mi się kręcić w głowie. Wygląda to, jakby wszystkie ekrany były podłączone do kamer na bieżąco filmujących wydarzenia zachodzące w różnych miejscach świata. Jestem w środku wieży kontrolnej, której nie powstydzilaby się tajna agencja wywiadowcza! Biorę kilka głębokich wdechów, by się uspokoić, a potem zaczynam oglądać obrazy na ekranach. W pierwszej sekcji wyświetlany jest teren zamku, w tym podjazd, którym tutaj przyjechaliśmy i obszar przeznaczony dla koni. W drugiej widać... wewnątrz zamku, łącznie z moim i ojca pokojem! Czuję wściekłość z powodu takiego



pogwałcenia prywatności! Kim jest ten facet, jakimś paranoidalnym szaleńcem? Daj spokój, weź się w garść! Najważniejsze to zrozumieć, do czego służy Hannibalowi to pomieszczenie kontrolne.

Na ekranie widzę teraz inny krajobraz, prawdopodobnie pochodzący z innego kraju. Obrazy z wnętrza supernowoczesnego ośrodka biznesowego. Zgodnie z tym, co głosi tabliczka przy wejściu do budynku, jest to... Hannibal Corp. z siedzibą w Massachusetts. W środku znajduje się mnóstwo laboratoriów, w których musi być bardzo zimno, sądząc po tym, jak ciepło ubrani są pracujący w nich technicy. Czy to przedsiębiorstwo produkuje zamrażarki lub coś podobnego? Patrzę dalej. Na kolejnym ekranie widać witrynę z antykami: starymi ubraniami, różnymi rodzajami broni z ostrzem, sfatygowanym końskim rzędem i fragmentami biżuterii. Przypominają one cztery trójkątne zęby odłamane ze starożytnej korony. A to co? Widzę twarze grupki młodych ludzi, którzy prowadzą ze sobą rozmowę, siedząc przed ekranem komputera lub przy telefonie... Dlaczego Hannibal szpieguje tych ludzi? Nie ma dźwięku, więc nie wiadomo, o czym rozmawiają. Na ostatnim ekranie widać przepiękny, bajkowy zamek położony pośrodku ciemnej, wąskiej doliny porośniętej wysokimi czarnymi sosnami. Budowla robi jeszcze większe wrażenie niż zamek w sercu Kraju Basków, w którym się obecnie znajduję. Każdy czarny kamień, wieżyczka, rzeźba i jezioro wyglądają na zaprojektowane przez architekta zainspirowanego krwawymi legendami z zamierzchłych czasów rycerstwa. Brrr! Dalej, na czymś w rodzaju wyrównanej polany pod zamkiem, dostrzegam ogiera, prawie dorosłego i całego czarnego z wyjątkiem białej gwiazdy na czole.

Rozwinięta muskulatura i rzadko spotykana dostojna elegancja widoczna w jego ruchach sprawiają, że robi onieśmielające wrażenie. Nigdy nie widziałam konia takiej rasy i jestem zafascynowana siłą i determinacją tego niezwykłego, pięknego wierzchowca.

Następnie mój wzrok przyciągają inne, bardzo niepokojące obrazy. Widzę budynek ze stajniami i grupę klaczy z opuchniętymi brzuchami, które leżą w swoich boksach. Wygląda na to, że śpią pod wpływem środka podawanego przez kroplówki, do których są podłączone. Przyglądam się obrazom z piwnicy budynku i doznaję szoku na widok pomieszczenia przypominającego laboratorium Frankensteina. Znajdują się tam stoły i duże narzędzia chirurgiczne, ludzie w białych fartuchach i maskach, próbówki, mikroskopy i komputery. Na ścianach wiszą schematy końskiego DNA i rysunki przedstawiające czarnego konia w różnych stadiach rozwoju. Nic z tego nie rozumiem. Przenoszę wzrok na akwaria wbudowane w pozostałe ściany. Z początku wydaje mi się, że pływają w nich jakieś dziwne ryby, lecz później dostrzegam, że są to unoszące się bezwładnie konie. Embryony źrebaków. W oszołomieniu przyglądam się czarnemu koniowi spacerującemu po łące. Widząc niezaprzeczone podobieństwo między tym ogierem a pływającymi embrionami, krzyczę z przerażeniem:

– Co za potwór!

Hannibal tworzy genetycznie modyfikowane konie! On jest szalony! Muszę się stąd wydostać i ostrzec ojca. Powinniśmy czym prędzej uciekać, jak najdalej od tego niebezpiecznego człowieka! Tylko wciąż nie mogę znaleźć wyjścia z tej pułapki!

W dzikim szale ciągnę za dźwignie jedna po drugiej i nagle uderza mnie fala dźwięków ze wszystkich ekranów, od której dostaję zawrotów głowy. Nakładające się na siebie języki różnych krajów tworzą oszałamiającą kakofonię. Zakrywam uszy i próbuję znaleźć sposób, by odciąć zasilanie i pozbyć się tego hałasu, na przykład odłączając jakiś kabelek. Przy krawędzi stołu dostrzegam coś, co przypomina przełącznik. Naciśnięcie go powoduje natychmiastowe wyłączenie wszystkich dźwięków i obrazów. Znow otacza mnie ciemność, przez którą przebija się jedynie niebieskie oświetlenie stołu przypominającego teraz blok lodu. Tylko spokojnie, Nadio. Pomyśl.

Muszę skupić się na jednej rzeczy. Naciskam przełącznik. Ekran włącza się, lecz tym razem nie ma dźwięku. Pierwsza dźwignia: ze środkowego ekranu dobiega dźwięk. Słyszę odgłosy ruchu ulicznego w nieznanym mieście. Przechodzę do dźwigni po lewej. Lokalizacja się zmienia i na ekranie pojawiają się teraz młodzi ludzie pracujący przy stołach zagraconych różnymi mechanicznymi i elektronicznymi częściami. Rozmawiają ze sobą w niezrozumiałym języku. Mimowolnie szukam jakiejś przyjaznej twarzy. Przy pomocy dźwigni przełączam obraz z jednego ekranu na drugi: wszędzie widać ruch i ludzi przy pracy. Zatrzymuję wzrok na ekranie wyświetlającym bardziej statyczny obraz. Mężczyzna w średnim wieku i o ciemnej karnacji siedzi przy biurku zasypianym książkami. Wpatruje się w stojący przed nim komputer, a na jego twarzy schowanej za okrągłymi okularami widać niepokój. Mężczyzna skupiony jest na rysowaniu jakichś dziwnych symboli w swym grubym notatniku. Przypomina uczonego, mądrego starszego człowieka. Szkoda, że nie mogę nawiązać z nim kontaktu, mógłby wezwać na pomoc kogoś, kto by mnie stąd wyostał!

Pora zobaczyć, do czego służą pozostałe dźwignie.

Używając drugiej dźwigni, mogę powiększyć lub pomniejszyć obraz na wybranym ekranie. Mogę się przyjrzeć gabinetowi uczonego i sprawdzić, co pisze w swoim notatniku, ale nic z tego dla mnie nie wynika. Próbuję przesunąć trzecią dźwignię. Nic się nie wydarzyło. A nie, chwileczkę, chyba słyszę skrobanie długopisu po kartkach, a nawet oddech mężczyzny. No dobrze, mogę z tego pomieszczenia szpiegować ludzi i sprawdzać każdy dźwięk i szczegół z ich prywatnego życia, ale czy mogę się jakoś z nimi skontaktować??? Sfrustrowana, zaciskam dłoń na dźwigni. Słyszę jakieś kliknięcie i zaczynam przeklinać po rosyjsku, używając bardzo nieeleganckich słów. Starszy uczoney nagle podskakuje i rozgląda się wokół. Zadaje pytanie w języku, którego nie rozumiem, a potem powtarza je po rosyjsku:

– Jest tu ktoś? Czy jesteś z Rosji? Halo? Gdzie jesteś?

Zaczynam paplać bez opamiętania.

– Proszę pana! – Proszę pana! Niech mi pan pomoże! Nazywam się Nadia. Jestem zamknięta w... jakimś okropnym miejscu, w domu pana Hannibala. Nie wiem, jak stąd wyjść. On...

– Hannibal? Powiedziałaś „Hannibal”?

– Tak, to jakieś ukryte pomieszczenie w zamku. Wszędzie dookoła są kamery szpiegowskie i mikrofony. Przypadkiem otwarłam przejście do tego pokoju i teraz nie wiem, jak się wydostać. Mój ojciec nie wie, gdzie jestem. Ja...

– Tylko spokojnie, oddychaj. Znajdziemy jakieś wyjście. Skontaktuję się z Battushigiem. To nasz ekspert od informatyki, sieci, kamer i tym podobnych. Będzie wiedział, jak cię wydostać z tego miejsca.

Obserwuję, jak pisze na klawiaturze z pełną prędkością, mamrocząc pod nosem:

– Skoro Wielki Brat nas obserwuje, znaczy to, że my też możemy go obserwować...

Potem unosi głowę i próbuje się do mnie uśmiechnąć.

– Nie widzę cię, ale może w trakcie czekania na Battushiga opowiedziałabyś mi, kim jesteś, gdzie się znajdujesz i dlaczego? Jeśli chodzi o mnie, jestem profesor Temudjin z Wydziału Nauk Ścisłych na mongolskim uniwersytecie w Ułan Bator.

Opowiadam profesorowi Temudjinowi swoją historię. Słucha z uwagą, potrząsając głową i co jakiś czas dopytując o szczegóły. Na jego twarzy widzę rosnące przerażenie. Prosi mnie, bym opisała obraz na ekranie wyświetlającym cztery trójkąty z połamanej korony. Jego twarz ciemnieje, a potem profesor szepcze:

– A więc już to ma...

Profesor szybko zbiera się w garść i wyjaśnia, że „Sieć”, do której należy, stara się pokrzyżować nieczne plany Hannibala...

Potem w gabinecie profesora słyszę głos młodego chłopca. Mówi językiem używanym w Mongolii, a profesor tłumaczy dla mnie jego wypowiedzi na rosyjski:

– Battushig włamał się do systemu Hannibala. Otworzy ukryte przejście i będziesz mogła uciec. Ale Hannibal z pewnością zauważy twoje wtargnięcie. Ty i ojciec możecie być w niebezpieczeństwie. Musicie jak najszybciej uciekać z tego zamku. Możesz się skontaktować z Siecią poprzez uniwersytet w Ułan Bator. Powodzenia.

Słyszę ciche syknięcie i róg pomieszczenia, przez który tu weszłam, zaczyna się obracać. Czym prędzej uciekam ze szpiegowskiej jaskini Hannibala. Muszę szybko opowiedzieć ojcu o wszystkim, co się tutaj dzieje, a potem musimy się stąd wydostać!

Zbiegam w dół schodów z prędkością błyskawicy, a w mojej głowie kotłują się informacje przekazane przez profesora Temudjina. Nie ośmielam się krzyknąć w obawie, że ktoś mnie nakryje, ale za wszelką cenę chcę znaleźć ojca. Biegnę do sypialni i otwieram drzwi do jego pokoju: jest pusty! Mój również – pościel zdjęto, a szafy opróżniono. Biegnę do jadalni. Znowu pusto. Pozostaje już tylko możliwość, że znajdę go przy koniach. Wybiegam z zamku i oblewają mnie strugi zimnego deszczu. Kamienie na głównym podejździe ranią moje stopy. Nieważne, zaraz wskoczę do jednego z tych elektrycznych wózków i podjadę do padoków. Cholera, żadnego nie widać w pobliżu. Ech, muszę sobie w takim razie poradzić inaczej. Pobiegnę jak maratończyk z pochodnią ostrzegawczą!

Gdy przyspieszam, krople deszczu, którymi nasiąka moja skóra, mieszają się z potem i zaczyna mi brakować tchu. Nie mogę jasno myśleć, kiedy w moich skroniach intensywnie pulsuje krew. Nie czuję nawet już poranionych stóp. Wiem tylko, że uderzają o podłoże jakby z własnej woli. Docieram do padoków i zaczynam krzyczeć na całe gardło, wołając na zmianę ojca i konie. Lecz na moje wezwania odpowiadają jedynie wiatr i wzburzone żywioły.

Zapewne wszyscy opuścili zamek i przyległe budynki, gdy byłam zamknięta w bibliotece. Czuję obezwładniającą panikę. Wszyscy zniknęli i zostawili mnie samą w tym ogromnym więzieniu. Jedyna droga ucieczki stąd wiedzie przez ocean: musiałabym wskoczyć do wody i dopłynąć do wybrzeża albo liczyć na to, że spotkam jakąś łódkę, która mnie wyłowi. Muszę znaleźć kogoś, kto mi pomoże odnaleźć ojca! Podchodzę do krawędzi klifu niczym robot, a moje oczy zalewają łzy oraz strugi potu i deszczu. Potykam się przez targający mną wiatr. Przedzieram się przez blokujące ścieżkę gałęzie janowca. Błagam je ochrypłym od krzyków głosem, by mnie przepuściły, by dały mi dojść do oceanu. Nagle moją uwagę odwracają jasne światła i głośny hałas. Osłaniam rękami oczy, by spojrzeć w niebo. Nadal pojawiają się na nim błyskawice, ale bez grzmotów – burza jest niema. Cóż to za dziwne zjawisko pogodowe?

Ni stąd, ni zowąd czuję, jak jakieś macki ośmiornicy łapią mnie od tyłu i wyciągają spośród splątanych gałęzi janowca, a potem siłą odciągają od klifu. W moich uszach cały czas pobrzmiwają dziwne odgłosy. Zbieram w sobie resztki sił, by uwolnić się z uścisku macek i kontynuować moją drogę w stronę oceanu. Na tle dziwnych odgłosów słyszę jednak, jak ktoś uparcie powtarza moje imię, co w końcu przywołuje mnie do rzeczywistości. Na chwilę przestaję walczyć i próbuję ustalić, kto mnie wzywa. Odwracam się. Przedemną stoi przemoczony do suchej nitki Filipe, a w jego oczach widzę zatroskanie. Nic nie rozumiem z tego, co do mnie mówi. Ciągnie mnie za rękę, bym za nim poszła, ale moje nogi odmawiają posłuszeństwa i powoli mdleję. Razem z ciałem słabnie moja siła woli, lecz Filipe podtrzymuje mnie, gdy upadam. Czuję, jak bierze mnie na ręce i niesie z dala od zdradzieckiego klifu, a potem tracę przytomność...

– Ojcie!

Otwieram oczy i krzyczę ochrypłym głosem, który ledwie rozpoznaję. Miotam się jak

tygrys próbujący zerwać krępujące go łańcuchy, lecz po chwili rozpoznaję twarz Filipe, mojego wybawiciela, który pochyła się nade mną i próbuje mnie uspokoić. Nieco się rozluźniam i odkrywam, że zostałam ułożona na wygodnej kanapie, w pozycji półleżącej. Nie jest to jednak kanapa w salonie, mimo że Filipe podaje mi kubek z gorącą herbatą, lecz siedzenie w niewielkim samolocie, sądząc po przesuwających się za oknami chmurach. Zwracam się do Filipe z pytaniem:

– Gdzie jest ojciec i konie?

Lecz on tylko kręci głową, naprawdę nie rozumie rosyjskiego, tak jak ja baskijskiego. Znów ogarnia mnie niepokój: Ojciec, Misza, Mysz, Zaldia, gdzie jesteście? Filipe odkłada kubek z herbatą i wręcza mi tablet, wskazując, że mam nacisnąć przycisk.

Nagle słyszę gładki, charyzmatyczny głos Hannibala dobiegający z głośników urządzenia.

– Nie mogliśmy się doczekać, aż się w końcu zdecydujesz i wyjdiesz z ukrycia. Zapewniam, że twój ojciec i konie są ze mną bezpieczni. Ponieważ postanowiłaś... zabawić się z nami w chowanego, na pewno rozumiesz, że nie mogę ci powiedzieć, gdzie teraz jesteśmy. Praca, do której wynająłem twojego ojca, wkrótce dobiegnie końca, a wtedy odzyskasz swoich towarzyszy – w doskonałym zdrowiu. Pod warunkiem oczywiście, że nie powiesz nikomu o swoim pobycie w Kraju Basków. Samolot zabierze cię do Władywostoku, gdzie będą na ciebie czekać ciotka i wujek. W bagażu znajdziesz prezenty dla swojej rodziny, poza tymi, które nosisz na sobie. Chciałbym cię lepiej poznać, *Bosikom Printsessa...*

Wiadomość kończy się na „bosej księżniczce”. Kipiąc z wściekłości, zrzucam okrywające mnie koce i spoglądam na stopy obleczone w parę szafirowych baletek dopasowanych do małej, niebieskiej sukienki, której nie miałam odwagi przymierzyć w sklepie, gdzie zawiózł mnie Filipe. Teraz mam ją na sobie. Czuję, jak rumieniec oblewa moją twarz i z powrotem naciągam na siebie koc, zaś Filipe pośpiesznie odwraca ode mnie wzrok i spogląda w chmury.

Mam ochotę krzyczeć tak długo, aż cały samolot rozpadnie się na kawałki, ze wstydu i wściekłości na tego potwornego człowieka, który myśli, że wszystko może kupić i wszystko kontrolować. Jak tylko wylądujemy, uratuję ojca i konie z rąk tego szaleńca. Skontaktuję się z Siecią i będę z nimi współpracować, by nie pozwolić Hannibalowi osiągnąć celu. Nigdy nie pozwolimy mu wygrać!

*Jeśli podobała Ci się ta historia, poznaj Zaldia i odkryj inne legendarne konie na*  
[www.howrse.pl](http://www.howrse.pl)